№ 35.

WARSZAWA

31 Sierpnia

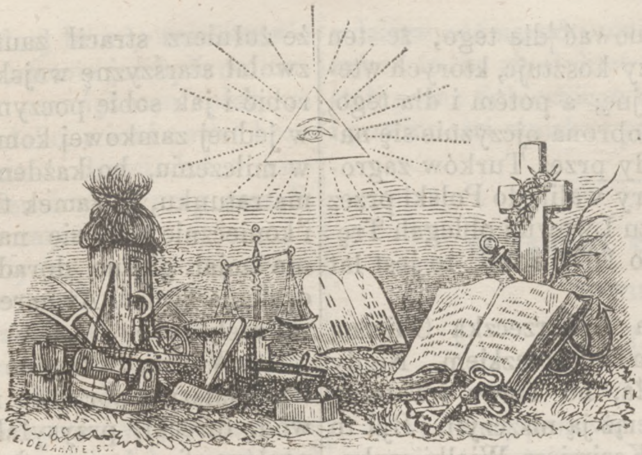
1862.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Oblężenie Trębowli.

—

Komu nieznane Chrzanowskiego imię?
I kto Trębowli drogich gruzów nie zna?
Gdzie twój skruszony oręż Ibrahimie,
Swobodna więzi w głębiach swoich Gniezna.
Lecz zawsze miły dzień po dniu jaśnieje,
I wciąż powtarzać miło ojców dzieje,
W otchłań przeszłości zachodzące krwawo!
Kto tego— ofiar dla ojczyzny— święta,
Tej czci dla swoich przodków nie pamięta,
Do czci potomnych drogie traci prawo.

Zagrzmiało wielkie Sobieskiego imię!
Kto go nie słyszał, kto z poganów niezna?
Dumny— uchodzisz przed nim Ibrahimie,
Jak ta z pod skały Trębowelskiej Gniezna.
I piękna sława Chrzanowskiej jaśnieje,
I już Trębowli oblężonej dzieje
Na ziemi naszej są wyryte krwawo.
Ta ziemia z kości naszych przodków święta,
W swoich wnętrznościach czuje i pamięta,
Jakie ich dzieci, mają do niej prawo.

Tymon Zaborowski.

Naród Polski odznaczał się zawsze walecznością i słynął nią u postronnych narodów. A nietylko mężczyzni byli odważni, czemu dziwić się nie można, bo w mężczyznie brak odwagi i męztwa jest podłością, ale nawet kobiety chwytały broń w rękę i nieraz cudów waleczności dokazywały. Powiem wam dzisiaj o jednej walecznej kobiecie: Chrzanowskiej, która się wsławiła za króla Sobieskiego czasów. Pamiętacie zapewne, że nasza Polska krwawe musiała staczać wojny z Turkami i Tatarami, i że prawie zawsze Polacy zwyciężko z tych zapasów wychodzili. A Jan III Sobieski, to już najbardziej ich zwyciężał i walił jak kopy snopów na polu. A nietylko Polskę, ale i Niemców i całe Chrześcijaństwo od Turków obronił. Serce miał Sobieski wspaniałe, rękę dzielną, a postawę prawdziwie królewską. Sumiaste wąsy na jego pięknej twarzy dawały mu minę groźną, ale za to w oczach, to już miał tyle dobroci i łaskawości, że każdy co spojrzał na niego, to go pokochał.

Gdy go Polacy obrali królem, właśnie za to, że był dzielnym wojownikiem, to nie chciał póty koronować się na króla, dopóki Turków z Polski nie wypędzi, co się rozsiedli w zamkach na Ukrainie i w Kamieńcu Podolskim.

A nie chciał się koronować dla tego, że ten obrządek siła pieniędzy kosztuje, których wtedy trzeba było na wojnę; a potém i dla tego, że przedewszystkiem obrona ojczyznie się należy, a była ona wtedy przez Turków zagrożoną, co się jak chmury walili do Polski przez rzekę Dniestr ku miastu Lwowu i oblegali Trębowlę. A działo się to 1675 roku, to jest lat temu 187.

Trębowla położona nad rzeczką Gniezną była wówczas małém miasteczkiem. Nigdy się wznieść nie mogła, bo Turcy i Tatarzy częstemi napadami wciąż ją niszczyli. Był tu zamek co go jeszcze Kazimierz Wielki wybudował na górze, z trzech stron prawie niedostępnej. Gdy Turcy rozszerzać się po kraju zaczęli i wedle zwyczaju wsie palić, miasta rabować, grabić dobytek, lud w ciężki jassyr pędzić, kto tylko mógł zdążyć, uciekał do zamku. Wszyscy mieszczanie z Trębowli, wieśniacy z okolicy, wszystko co żyło biegło chronić się z mieniem w mury zamkowe. Tym sposobem przybyło dużo ludzi do jedzenia i płaczu, do załamywania rąk w nieszczęściu, ale do walki niewiele. Turcy ze swoim wodzem Ibrahimem Baszą, otoczyli Trębowlę wokoło, żeby ani żywności, ani posiłków żadnych nie dopuścić, i tym sposobem zmusić załogę do poddania się. Armaty zagrały, mury zaczęły się sypać, a w zamku trwoga wielka! W którąkolwiek spojrzałeś stronę, wszędzie obóz turecki, namioty i namioty dokoła, a była ich liczba niezmierna, gdy naszych garstka zaledwie, ale wspartych Bożą pomocą, jako walczących za ojczyznę. Mury zamkowe już porozwalał nieprzyjaciel kulami, żywności zabrakło, i już głód w zamku doskwierać zaczął. Żołnierzowi sił brakło do bitwy, a wszyscy upadli na duchu i opuścili ręce. Płacz niewiast, wołanie dzieci o jadło serca krajało, a prędkiego ratunku nie było nadziei. Jednakże broniła się jak mogła załoga, i nie myślała o poddaniu twierdzy, choć Ibrahim Basza przysyłał posłów z żądaniem poddania się i obietnicą łask. Samuel Chrzanowski dowodził wojskiem w Trębowli. Był to człowiek odważny i odrzucał warunki Ibrahima. Nie ustraszyły go nieprzyjacielskie kule i niczem dlań nie był huk armat, ale później, gdy głód zaczął dokuczać zamkowej załodze, gdy niewiasty i dzieci lamentować zaczęły, widząc że żołnierz stracił zaufanie we własne siły, zwołał starszyznę wojskową na radę, co dalej robić i jak sobie poczynać? Zebrała się rada w jednej zamkowej komnacie Długo siedzieli w milczeniu, bo każdemu zdawało się że nie ma ratunku, że zamek trzeba poddać Turkom i koniecznie zdać się na ich łaskę. Ale nikt nie śmiał głośno doradzać tego haniebnego ocalenia życia. Aż nareszcie sam Chrzanowski rzekł:

— Wiecie, że trudne jest nasze położenie, i że dalszy opór jest niepodobny. Ibrahim wódz turecki, przysyłał kilkakrotnie do nas posłów ofiarując swą łaskę, aby tylko oddać mu zamek. Nie chciałem słuchać jego posłów. Ale teraz smutna konieczność zmusza nas do kapitulowania. Wkrótce bowiem szturm przypuści, a żołnierz nasz jako zgłodzony i znękany, nie będzie mógł bronić się dłużej za rozwalonemi murami zamku. A gdy Turcy szturmem zamek zdobędą, pozabijają kobiety i dzieci nawet. Dla tego to sądzę, że lepiej będzie poddać się i tych ocalić, którzy w zamku przytułku szukali.

Ledwo skończył swoją mowę Chrzanowski, wybiegła z drugiej komnaty jego żona. Sztylet trzymała w jednej ręce, a pałasz w drugiej; z zaognionem wzrokiem stanęła wśród rady i rzekła:

— Narzekacie, że ludność co do zamku przybyła ogładza was, i że dla niej dłużej bronić się nie możecie. Po cóż tu jesteście? czy na to żebyście lud bronili od nieprzyjaciela, czy też dla tego żebyście z nim lamentowali? O niebaczni i niepewnej odwagi ludzie! bronić się do ostatka, do ostatniej kropli krwi potrzeba! Kto bronić się nie chce, jest tchórz podły i zginąć powinien! Słuchaj mężu, mówiła dalej, jeżeli ty stchórzysz i zamek zechcesz Turkom poddać, to bronią tą, którą mam w ręku, naprzód tobie, a potém sobie życie odbiorę, bo nie ma większej boleści, jak żyć z hańbą nikczemnego poddania się nieprzyjacielowi.“

Słowa jej obudziły odwagę w mężu i w innych wojownikach i już nikt z nich nie myślał o poddaniu się. A gdy po chwili rozległ się straszny krzyk na dziedzińcu zamkowym i wołanie że Turcy już są na murach, Chrzanowska wybiegła na dziedziniec, a za nią wszyscy wojownicy. Słychać było jęk i płacz

matek i dzieci, huk palnej broni, zamieszanie było okropne. Turcy istotnie już byli na murach. Żołnierze nasi rozmiękczeni płaczem niewiast, opierali się słabo, a inni nawet broń rzucali i biegli do niewiast i dzieci. Już w zamkowe podwórze wdzierać się Turcy zaczęli, gdy zaczęła wołać Chrzanowska:

— Czegóż się trwożycie, czegóż się lękacie? Czegóż płaczecie wy kobiety, czy spodziewacie się wypłakać litość poganina? Czy myślicie, że Turek zmięknie jak wasze łzy zobaczy? Krzykiem i płaczem nie odstraszycie wroga. A wy mężczyzni i wojownicy, nie wstydże wam, że jesteście jak słabe niewiasty? Bronić się! bronić! a nie utyskiwać, i tak wszyscy wyginiemy, gdy Turek zamek zdobędzie. Nie lepiej że ginąć z bronią w ręku? Dalej na mury za mną, kto nie podły tchórz, wołała Chrzanowska, podnosząc pałasz w górę. Jeżeli nie zwalczymy nieprzyjaciela, to umierajmy z honorem, broniąc się do ostatka, jak na Polaków przystoi.

Pobiegła naprzód ku murom, a za nią wszyscy stanęli do walki. Kobiety kamienie dźwigały, ten porwał topór, ów pałasz, inny pałkę ujął, wieśniak schwycił gołemi rękami Turka za gardło, zdusił, a po ubitym broń zabrał i tą bronią innych walił. Cofnęli się Turcy, nasi wybiegli za nimi, aż za bramy zamkowe, a bili wciąż po drodze do ciemnej nocy. W nocy naprawiali mury i już z dniem byli bezpieczniejsi za nimi. Znów Turcy od rana szykowali się do szturmu, ale nasi śmielej już po wczorajszém zwycięztwie, oczekiwali ich za poprawionemi murami. Wtém spostrzegają z murów niezwykły popłoch i zamieszanie w tureckim obozie, a za nim białe i czerwone chorągwie wojska polskiego, które na obronę Trębowli prowadził król Sobieski, pobiwszy poprzednio Nuradyna baszę pod Lwowem. Rozpoczęła się bitwa. Turcy z dwóch stron zaczepieni przez króla i załogę z Trębowli, nie mogli się długo opierać. Wzięci we dwa ognie, uciekali w nieładzie, nie myśląc już nawet o obronie i porzuciwszy zrabowane bogactwa i lud skrępowany powrozami, a zabrany do niewoli. Uciekli, zamek ocalal, wszedł do niego król Sobieski czyli Sobek i dziękował odważnej kobiecie, która ocaliła tysiące narodu od hańby i śmierci. Świetną jest dotąd pamięć Chrzanowskiej, nigdy bowiem wdzięczność narodu nie wygasa. Mieszczanie zaś za to, że się dobrze bronili, uwolnieni zostali przez Sobieskiego na lat 12 od podatku, i powinności wojskowych.

O Bożej czeladce.

POWIEŚĆ.

I.

Teraz chcą panowie żeby ich chłopi mieli za sąsiadów i żeby im jak rodzonym *starszym* braciom chłopi wierzyli i ufali. Że wielu panów na to zasługuje to jedna prawda, ale że są i tacy co niegodni są serca chłopskiego, to druga prawda. Bo kto przypomni sobie owe nadużywanie władzy niejednego dziedzica, ten zgrozą się przejmie na podobnych ludzi co krzywdy się dopuszczali na chłopach, braciach swoich ze krwi i z wiary.

Doprawdy, tacy nie mieli serca, ani wiary, ani rozumu. Bo serce każe nie o sobie tylko myśleć, ale życzyć i bliźniemu jak sobie samemu; bo wiara głosi, że za każdą krzywdę człowiek musi pokutować na tamtym świecie; bo jeszcze rozum wie z doświadczenia, że jak świat światem nikt sobie szczęścia z cudzego nie przysporzył.

A kiedy niedawno lepsi panowie, daj im Boże zdrowie i pomyślność, skłonili gorszych, żeby wssyscy się wzięli do czynszowania, a zarzucenia pańszczyzny, to i najgorsi zaraz zaczęli się chwalić z swojego dobrodziejstwa i dobrodziejami chłopów głosili. A kiedy tu i owdzie chłopi odurzeli od takiej zmiany, inaczej o tém trzymali, to zaraz tacy zaczęli głosić, że chłopi są ciemni, że nierozumieją się na ich dobrodziejstwach i że są bardzo niewdzięczni.

Nie, tak nie jest. Że krzywdy jakich doznaliśmy, odrazu wygoić nie można, to sami pewno przyznacie. Krzywdy te często nie od was pochodziły, ani przez was, ale przez niedbalstwo, kiedyście się spuścili na officjalistów i sług swoich, nawet chłopów. Ale goją się i zagoją te krzywdy, bo trzeba żeby się zgoiły i żebyśmy zgodnymi sąsiadami raz przecie zostali. Tylko prawić, że co chłop to jest niewdzięczny, to już pewno nikt tego nie

dowiedzie. Albo to nie czujemy dla anielskich dusz podziękowania, za te nauki dla naszych dziatek, za tę pracę i kłopoty, i za te lekarstwa, a najbardziej za dobre serca. Albo to nie czytamy z miłością w pismach wielu nazwisk zacnych panów, co przy oczynszowaniu tyle wyświadczyli swoim chłopom. Oj, czujemy je!

Że ta wdzięczność też nie jest nową na wsiach, to opowiem zaraz historyę, jak to było przed dwudziestu latami w Siedliszczu, co leży o milę dobrą od rzeki Bzury; jak tam, długi czas dobrze robił pan dla chłopów, i jak mu potem chłopi się odwdzięczyli, a każdy się przekona że chłopi chamy, bywają ludzie tacy dobrzy jak kto inny.

Pan ten nazywał się Wicenty Siedliski. Był to dawny wojskowy polski, podobno że pułkownik. Bił się w kilkunastu bitwach pod Kościuszką, pod jenerałem Dąbrowskim i pod księciem Józefem. Ranę miał tylko jednę, ale bardzo dokuczliwą, co z nią z pod Gdańska przyjechał do żony, do Siedliszcza. Pani Siedliska zawsze siedziała na wsi, pilnowała gospodarki i rządziła z ekonomem. Tęskniła do męża, ale on lubił wojować i nie dał się kobiecie zwabić do domu, jak wypadła wojna to nieboga musiała przestawać tylko na pieszczotach z synem Kajetankiem. Dopiero jak ustały wojny Napoleońskie, jak resztki wojska polskiego powróciły do ojczyzny, pułkownik odstał od wojska na zawsze i sam zajął się gospodarką. Powprowadzał zaraz nowy porządek. Przy dworze zawiesił dzwon i dzwonił na robotę i z roboty. Wszystko się musiało słuchać głosu dzwonu tak jak jego rozkazu, powydzielał roboty tak, że widać było co kto zrobił lub zaniechał, ale potém musiał odrabiać. Takiej służby na folwarku, trudno było znaleść gdzieindziej. Robota kiedy szła, to się już nazywała robota, bo strasznie nie lubiał majaczenia. Zawsze mawiał: „Zrób co do ciebie należy, a potém idź sobie leżeć albo kozły wywracać.“ Z początku służba dworska narzekała, ale jak się wprawiła do takiego sprężystego ładu i poznała dobre serce pana, to już służyła mu do śmierci, a nie szukała gdzieindziej chleba.

Pańszczyznę tak urządził, aby żaden gospodarz nie był uciążony, nie pytał czy on wyszedł w poniedziałek czy we wtorek, byle swoje odrobił w tygodniu. A jak nawiedziła którego choroba, albo klęska w polu, czy przez gradobicie, czy przez posuchę albo przez co bądź, przyszedł na miejsce, wywiedział się i zwalniał od pańszczyzny, a nawet kiedy trzeba było gospodarzowi ratunku, zwołał gromadę, naradził się, dał zapomogę, i drugich gospodarzy namawiał żeby swojego ratowali. Rzadko któremu tak wypadło żeby nie dostał zapomogi dworskiej i gromadzkiej, to też później urządzili sobie chłopi w Siedliszczu kassę, do której każdy płacił co rok po kilkanaście złotych, a pan obowiązał się płacić do tej kassy co rok trzecią część tego co chłopi wnieśli, co się bardzo wsi przydało na każdy ciężki rok. Potém już chłopi tak się dorobili, że brali na pożyczkę z tej kassy już nie na potrzebę, ale na przychówek, na nowe budynki, na wypasienie bydła i na większą gospodarkę. A nawet doszło do tego, że gospodarze niektórzy nie wychodzili na pańszczyznę, woleli za nią płacić skup i furmanić sobie, albo zarabiać to na pszczolnictwie, to na kołodziejce, albo na tem, jaki tam miał kto do czego talent. Pan Siedliski zgadzał się na wszystko, za złotówkę co ją dostał za dzień pańszczyzny, najął sobie robotnika z tej samej wsi albo i z drugiej i nie chciał człowieka więzić żadnym przymusem, i mawiał, że człowiek nie ma prawa nad drugim człowiekiem przewodzić.

Po dwudziestu latach chłopi Siedliscy, wyglądali już sami coś z pańskiego, bo starych dużo wymarło, a z młodych co wyszli ze szkoły, wiele ludzi było piśmiennych i delikatnych. Dziewuchy niby paniątka wyglądały czysto, składnie a wesoło. Chłopaki jak skry przewodzili w robocie na polu i w domu i przy zabawach. A jeszcze że przesiadywali często we dworze, to na czytaniu, to na grach, bo pan Siedliski bawił ich czytaniem i muzyką, i sam z panią i z paniczem bywał na wsi na weselach i na smutkach, to jedni z drugimi tak się skumali i zbratali, że już na szczere kochali się, jak jedno krewieństwo. Bywało, że panicz wydarł za łeb jakiego chłopaka ze wsi, ale też i paniczowi się kłaków naskubali chłopcy, bo pan Siedliski zaraz dokazywał, jak kto przepuścił jego Kajtusiowi swawolę, i mawiał: ,,nie czub jeden drugiego, ale kiedy się macie czubić, to czubcie się razem w kochaniu.“

Po takiem ślicznem życiu pana Siedliskiego, przyszła na niego ta kréska, co się pisze na każdego człeka, przyszła śmierć i grób. Umarła w pół roku może i pani, i pochowana przy mężu swoim, rycerzu i gospodarzu, a dzielnym człowieku. Ludzie Siedliscy nażałować się ich nie mogli, a najbardziej tego pana dobrego, co ich powoli nauczył pacierza, czytania, pracy, oszczędności i mienia, a życia uczciwego.

Ha! umarli, to i umarli, cóż robić. Wszyscy tam pójdziemy: sprawiedliwi i niesprawiedliwi, źli i dobrzy po karę i po nagrodę, za to życie jakie ono tu było.

Pan Kajetan objął gospodarkę po rodzicach, a młodym był jeszcze chłopakiem, nawet niedawno skończył szkoły Warszawskie. Uczciwość i kochanie miał dla ludzi takie, jak i nieboszczykowie rodzice, ale do gospodarki nie miał takiej głowy, a może że i miał głowę, tylko że nie miał ojcowskiego jeszcze doświadczenia. To się opóźniał, to śpieszył się z zasiewami, nie umiał w porę skosić łąki i siano mu gniło. Dawniej zboże bujało na podziw okolicy, a za niego mizernie i nierówno rosło razem z chwastem, a na składach pełno było łysiu. Ze zboża miał małe zyski, a bydło mu marniało potrochu. Wychudły i owce a coraz mniej ich było. Koniom coraz bardziej pokazywały się żebra, jeszcze cugowe utrzymywały się w ścierwie, bo im nie żałowano owsa i siana. Za nieboszczyka ojca było inaczej. Ledwo minęło cztery lata od jego śmieci, a folwark Siedliski nie jaśniał jak dawniej białemi ścianami dworu i innych budynków. Ściany się poodrapywały, dachy poczerniały i poobdzierały.

Pochodziło to i z tego, że młody pan coraz mniej się zajmował gospodarstwem, spuszczał się na ekonoma ze wszystkiem, a sam dojeżdżał z zalotami do panny w Kulkowej Woli. Panna Kulkowska jednak jakoś nie chciała patrzeć na pana Kajetana, bo podobał się jej inny panicz. Było to bardzo ambarasowne dla pana Kajetana i dla starych państwa Kulkowskich, bo oni jeszcze za życia starych państwa Siedliskich obiecali, że jak im córka wyrośnie, to oddadzą ją panu Kajetanowi. Pani Siedliska jak umierała zaleciła też synowi, żeby nie zwłóczył żeniaczki, ale żeby się ożenił z panną Kulkowską.

Martwił się pan Kajetan tém wszystkiem, bo chciał wypełnić rodzicielki wolę i pojąć żonę z uczciwego gniazda, jak mówiła matka, a to mu się nie udawało. Nie chciał opuścić panny, żeby jej rodzice nie mieli go za pustego młodziana, i żeby przez niego nie zatracili miłości dla nieboszczyków ojców. Biedował się więc i biedował i nie wiedział jak z sobą począć. Posmutniał, schudł, wyżółkł i skwaśniał z ludźmi.

— Co mu jest, mówili raz ludzie we dworze, taki był dawniej wesoły i ucieszny, jak kogo spotkał zawsze pogadał z człekiem i pośmiał się, a teraz jakby uciekał od ludzi, że nawet ekonom żadnej rady nie ma od niego.

Kucharz na to przemówił:

— I jadło mu nie smakuje, chociaż mu najsmaczniejszą zrobię potrawę. Myślałem, że mu rosół się przejadł, robiłem barszczyk i ten mu nie smakuje, chociaż ze śmietaną. Pieczeń różną wymyślam, to wołową, to skopową, to mu kurczaka upiekę, czasem tylko tknie widelcem. Coś mu jest.

— A co mu jest, powiedziała Jantczyna, nic mu pewno nie jest, jeno tak mu smutno od śmierci starych państwa. A najbardziej się zafrasuje jak przyjeżdża od państwa z Kulkowej Woli, co z nieboszczykami żyli w wielkiem kochaniu. Pewnie mu się to wszystko przypomina, i smuci się chudziaszek.

— E, widzita to nie to, powiedział furman Ignacy, mnie się wszystko zdaje, że mu się nie udaje z panną Kulkowską i o to się tak bardzo frasuje. W Kulkowej Woli mówili mi ludzie, że panna patrzy na panicza ze Zbuczyna, a na naszego wcale nie zważa.

Jak to usłyszała Jantczyna, stara piastunka pana Kajetana, zafrasowała się okrutnie i rozłościła się na pannę Kulkowską, bo jej się zdawało, że nad jej wychowanka pana Kajetana, nie ma drugiego w świecie ani ładniejszego, ani mądrzejszego, ani lepszego, a nawet bogatszego.

— Nie gadałbyś, zawołała do Ignacego, a czegóżby jej to trza było, miałaby z pana Kajtusia wszystko, i lepiejby paradowała jak inne panie. Jakby go nie chciała, to chybaby oczów w głowie nie miała.

— Ma ona oczy, ozwał się Ignacy, a dla tego jak jej się inny spodoba, to nasz musi

z niczem odjechać, bo panny nikt zmuszać nie będzie.

— A jabym zmusiła, zawołała Jantczyna; pan Kajtuś nie byle kto, żeby nad niego kogo przekładać. Oj, zmusiłabym żebym była matką, choć ona panna. Bądź największą sobie panną, ale wybredów nie rób, idź za takiego, co ci da kawy, rosołu, pieczeni, bułek codzień i co ci nakupi aksamitów. Jakbym była panem Kajtusiem, tobym plunęła jej w ślepie i koniec z zalotami. Takbym zrobiła i anibym się pokazała w Kulkowej Woli. Co to, czy to on panny nie dostanie jeszcze ładniejszej i bogatszej? Dostanie, pewno dostanie...

Kiedy to powiedziała Jantczyna, poszła zmartwiona na wieś opowiadać o gadaniach kucharza i Ignacego, a z tego opowiadania za tydzień urosła bajka w Siedliszczach i w całej parafii, a nawet dalej, że pan Kajetan schnie ze zmartwienia, że go panna Kulkowska nie chciała. Jak niedziela przyszła, ludzie w kościele z ciekawością się przypatrywali temu paniczowi, co miał od miesiąca nic już nie jeść i nie pić, a państwo z ławek zérkali na niego, uśmiechali się i szeptali do siebie, a najwięcej panny. Zauważył to i pan Kajetan, ale nie wiedział dla czego się wszyscy na niego patrzą i robią te szepty. Po obiedzie pojechał konno oglądać pola i pod lasem wstąpił do chałupy gajowego. Przywiózł mu parę książek i ostatnie gazety, bo chociaż cała prawie wieś umiała czytać, ale gajowy najwięcej się znał na książkach i bardzo lubił czytywać książki o lasach i gazety, i dowiadywać się, co się dzieje w Polsce, w Rossyi, w Turcyi, w Anglii, we Francyi, we Włoszech, u Niemców i u Szwedów, a nawet w Ameryce. Jak to wszystko przeczytał, dopiero opowiadał ludziom o wszystkiem. Pan Kajetan musiał długi czas przesiedzieć u gajowego, bo okrutna burza zerwała się na dworze. Gajowego strasznie korciło, żeby się rozmówić z panem Kajetanem o tym frasunku jego z panną Kulkowską, ale nie wiedział od czego zacząć, zaczął więc od gospodarstwa.

— Nie wiem, powiada, jak pan każe zrobić z tem drzewem w boru, co je burza po świętym Macieju powywracała, czy je porąbać na siągi, czy całe pozwozić na podwórze.

— Ha, zrobi się jakoś, jeszcze pomyślę, odpowiada pan Kajetan.

— Dobrzeby było proszę pana, ozwał się gajowy, teraz już pomyśleć, boby się drzewo poobrąbywało, albo porąbało, a jak sanna w zimie przyjdzie, toby się lekko wszystko zwiozło. A możeby się siągi przedały, terazby pan dostał za sążń po 30 złp. na miejscu.

— Teraz nie wiem moi kochani, przemówił pan Kajetan, dużo mam frasunku, to i nie wiem jak zarządzić.

— Słyszałem, słyszałem, powiada gajowy, że pan ma frasunek, ale niechże się pan nie martwi, niema tego złego coby na dobre nie wyszło.

— O którym frasunku mówicie, zagadnął pan Kajetan.

— A o tym z panną Kulkowską, powiedział gajowy, pan jeszcze lepszą pannę dostanie.

— A dla czego ja mam dostać lepszą pannę?

— Kiedy ta nie chce pana, to nie wielki rarytas.

— A zkąd wiecie moi kochani, że ona mnie nie chce?

— Przecież już dokoła mówią, że panu się nie udały zaloty w Kulkowej Woli.

— A ha, to teraz dopiero rozumiem, dla czego się tak na mnie pątrzeli ludzie w kościele, ale ja o niczem nie wiem, czy mnie panna chce, albo nie.

— To złe panie, nie gniewaj się pan że tak mówię, bo pana bardzo kocham. Złe panie naprawdę, że pan tak długo jeździsz i mizerujesz konie o cztery mile i gospodarstwo panu marnieje. To niby nic wcale, ale to szkodzi, bo się wszystko opuszcza, a nie każdy ma wyrozumienie na cudze dobre. Powiedziałbym panu więcej, ale mnie strach żebyś się pan nie pogniewał na mnie.

— Nigdy. Mam ojcowską w tém naturę, że wysłucham zawsze, jak mi kto ze serca co powiada. Ja wam gadam, powiedźcie i wy mnie co macie na sercu.

— A to tak. Z żeniaczką zrób pan po chłopsku. Kiedy pana nie będzie chciała panna z Kulkowej Woli, to ożeń się pan z drugą. Nie szukaj pan panny po całym świecie, ale ożeń się pan w swojej parafii, boć przecie i u nas ładnych panien nie brak. Niech się pan nie gniewa, ale na mój rozum, tobym na miejscu pana pojechał tylko o granicę, do Piesina i ożenił się tam z jedną panną. Z podziału nie dużoby panu przypadło majątku, ale i tego

co pan masz wystarczyłoby na życie i panu i dzieciom, jakby je Bóg dał.

— Macie słuszność Jacenty, szanuję was bardzo i waszą radę, ale dla tego też że wasz szanuję, powiem wam otwarcie że muszę szanować i życzenie rodziców.

— Prawda panie, że życzenia rodziców omijać nie można, ale jakby żyli starzy państwo, przecieżby sobie gwałtem nie wciągali synowej.

Po tej rozmowie z gajowym, jak burza przycichła, pojechał pan Kajetan miedzami do dworu. Kiedy przed sienią zesiadał z konia, przybiegła Jantczyna od kuchni, objęła go za nogi i zaczęła z płaczem przemawiać.

— O moje dziecko jedyne, czegoś ty doczekało, państwo starzy cię odumarli, i nieszczęści ci się, nie... ale cię Bóg nieopuści, nie będziesz się poniewierał, jeszcze lepszej dostaniesz...

— Co wam jest Jantczyno, zawołał pan Kajetan, co wam się zrobiło, ja was nie rozumiem.

— O panie Kajtuś, mój paniczku złoty, czego cię ona opuściła ta panna. Ty mój brylantowy paniczku, dostaniesz ładniejszą panienkę ze szczerego złota, tylko jedyny paniczku jedź sobie i pij na zdrowie, bo takeś paniczek wychudł, jakby ci chleba brakło.

— A mój Boże, zawołał pan Kajetan, kto wam nagadał, ja jeszcze nic nie wiem, a wy się wszyscy turbujecie o mnie. Poczekajcie chociaż.

— No, no, przełkała Jantczyna, kiedy tak to niech cię paniczu Bóg błogosławi, żebyś ją dostał, tę panienkę, co ci się spodobała. Niech ci Bóg dopomoże, żebyś jadł i pił a nie głodził się.

Rozmowa z gajowym, a potém płacze Jantczyny, do żywego przejęły pana Kajetana, widział w tém życzliwość dla siebie dawnego sługi rodziców i swojej piastunki. Chodził długo wieczorem po pokoju i myślał bardzo. Nareszcie kazał zawołać do siebie Ignacego i zapowiedział mu, żeby wyszykował na rano konie i bryczkę. W nocy jeszcze długo nie spał, dopiero po wschodzie słońca obudził go Ignacy i powiedział, że wszystko do drogi gotowe.

— To dobrze, przemówił pan Kajetan, pojedziemy zaraz.

— A daleko proszę pana pojedziemy? zapytał Ignacy.

— Na przeprawę i wrócimy, odrzekł dwuznacznie pan Kajetan.

— Może to daleko, trzebaby zapas zrobić, może dla koni, przemówił Ignacy.

— Dowiemy się o tém dopiero w Kulkowej Woli, ozwał się pan Kajetan.

Kiedy w Kulkowej, to w Kulkowej, pomyślał Ignacy i poszedł zaprzęgać konie. A jak zajechał przede dwór, już i pan był gotów, wsiadł do bryczki i pojechali. W tej drodze pan Kajetan taki był zamyślony, że ani słowa się nie odezwał. Ignacy jechał i jechał, dopiero na polu przed Kulkową Wolą zatrzymał konie, niby zaprząg na nich poprawiał, ale właściwie chciało mu się żeby konie trochę wytchnęły. Potém ruszył zwolna, popuszczał czwórkę coraz więcej, a jak wjeżdżał do wsi palnął z bicza dla fantazyi. Pan Kajetan jakby się dopiero ocucił ze snu, przemówił do Ignacego:

— Mój kochany, zajedziesz przede dwór, ale koni nie wyprzęgaj, bo może zaraz wrócimy.

— Oj panie, zawołał Ignacy, konie się zmęczyły, trzebaby im dać obroku.

— To na drodze, przemówił dobitnie pan Kajetan.

Konie poczuły znajomą im stajnię, przysporzyły biegu, a Ignacy z koziełka palił z bicza, aż się rozlegało po wsi. Na podwórzu dworskim palnął jeszcze trzy razy i przed gankiem na miejscu osadził czwórkę. Pan wysiadł, a Ignacy zatoczył bryczką do koła i stanął opodal trawnika, chociaż się to koniom wcale nie podobało, bo się tęsknie oglądały na stajnię. Klucznica wypadła niedługo z dzbanem piwa i kawałem chleba z masłem, poczęstowała Ignacego i pytała czemu koni nie wyprzęga.

— Bo pono mamy jeszcze na jakąś przeprawę jechać, odrzekł Ignacy.

— Na jaką przeprawę? zapytała klucznica.

— Nie wiem na jąką, bo mi pan nie mówił, odrzekł Ignacy.

Klucznica zamyśliła się, potém ruszyła ramionami i powiedziała na odchodnem:

— Nie wiem gdzie by tu była przeprawa.

Ledwo klucznica odeszła, z ganku już schodził pan Kajetan z panem Kulkowskim sta-

rym, a pani Kulkowska we drzwiach stanęła. Pan Kulkowski ściskał pana Kajetana i mówił mu:

— Mój Kajtusiu, jak syna cię kocham, i żona moja także, nie miej mi za złe, ani żonie, myśmy pragnęli, i pamiętaliśmy nasze przyrzeczenia z zacnemi twojemi rodzicami. Gdybym to mógł przeinaczyć, część majątku za to bym oddał, ale trudno, za dalekoś mieszkał i Belunia się nie przyzwyczaiła do ciebie, a wolałbym żeby do ciebie.

— Cóż robić panie majorze, przemówił pan Kajetan, smutno mi bardzo, że węzeł rodzicielskiej przyjaźni musi się zerwać, a ja go chciałem jeszcze ściągnąć mocniej.

— Mój Kajtusiu, ozwał się pan Kulkowski, boję się, żebyś nie stracił do nas przywiązania. Nie trać synu, przyjeżdżaj do nas, jak dawniej. Dziewczyna ci będzie siostrą rodzoną, a siostry nie masz. Kochamy cię, i szacujemy, i Belunia ci to powiedziała sama, że cię szacuje. Szkoda wielka, że za dalekoś mieszkał, bo by się może przyzwyczaiła do ciebie.

— Dziéj się wola Boża, przemówił pan Kajetan. Odjeżdżam smutny, ale nie mam żadnej niechęci do rodziny pana majora, żałuję tylko, żem dawniej nie wymiarkował usposobienia panny Izabelli. Żegnam pana majora.

Uściskali się jeszcze z panem Kulkowskim, ukłonili się jeszcze z załzawioną we drzwiach panią Kulkowską, i odjechał pan Kajetan z przeprawy, co mu się nie udała. Ignacy podsłyszał wszystko, wymiarkował, co się znaczy, nie palił z bicza, i smutny był razem z panem. Konie też leniwo się ruszały z powrotem, uszy pospuszczały tak samo, jak Ignacy i pan Kajetan.

Kiedy wyjechali na pole, podjeżdżał ktoś po drugiej drodze do wsi we cztery konie. Po ubraniu krakowskiem woźnicy, po siwych koniach i po chomontach z chorągiewkami, poznał panicza ze Zbuczyna, co miał być szczęśliwszym w zalotach u panny Kulkowskiej. Westchnął Ignacy na pogardę szczęśliwszego panicza, i popędzał konie na popas do pierwszej karczmy na drodze. Zmarkotniały pan Kajetan, nie wiem, czy poznał swojego zapaśnika, co z dobrą miną pośpieszał do wsi, do panny Izabelli. O, tam teraz we dworze jedno do drugiego słówka nie mówi. Stary pan patrzy się w okno, i nic nie widzi, pani patrzy się w podłogę zmartwiona, i główką siwą kiwa, a panna w drugim pokoiku zamyślona, przeciąga sobie jakiś listek przez ząbki. Ożywi się tam przecież, ożywi wszystko potrochu, jeno krakowiak trzaśnie z bicza przede dworem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Różności.

Przy ogólnej dążności do rozszerzenia oświaty pomiędzy ludem, i miasto Chełm w Lubelskiem nie daje się innym wyprzedzić. Kilkanaście osób, troskliwych o dobro opuszczonej dotąd ludności miejskiej, założyło Bibliotekę miejską, i darmo rozdaje mieszczanom książki do czytania. Przez czas niejaki mieszczanie umiejący czytać skwapliwie brali książki do siebie, ale gdy większa część czytać wcale nie umiejąca, korzystać z biblioteki nie mogła, duchowieństwo wraz z gronem osób cywilnych urządziło Czytelnią Miejską Niedzielną, aby wszyscy bez wyjątku, mogli korzystać z odczytywanych dzieł z biblioteki branych. Mieszczanie ciągle gromadnie zbierają się w Czytelni, gdzie duchowni wykładają im prawdy religijne, a osoby cywilne odczytują i objaśniają dzieła ludowe, mające związek z rolnictwem, rzemiosłem i przemysłem, gdyż z tego rodzaju mieszkańców składa się główna ludność katolicka Chełma. Jeżeli tak pomyślnie rozpoczęta Czytelnię, dalej trwać będzie, błogie ztąd skutki na mieszkańców spłynąć muszą.

— W Chełmnie w Polskich Prusach, zawiązane zostało Towarzystwo Rolnicze Ziemi Chełmińskiej. Celem jego jest podniesienie gospodarstwa rolniczego i podźwignięcie stanu włościańskiego, przez szerzenie pomiędzy nim oświaty. Członkiem Towarzystwa może zostać każdy, wnoszący rocznej składki do kassy Towarzystwa 6, 3 lub 1 talar. Językiem korrespondencyi i obrad Towarzystwa jest język polski tak w Prusach prześladowany. (*Gaz. Pols.*)

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 31 Sierpnia 1862 r.